Seminarium nauczycielskie

Do seminarium nauczycielskiego poszedłem w roku 1928 z niezłym kapitalikiem: z użyteczną w tej szkole umiejętnością początkowej gry na skrzypcach i z ozdobą jedynie, którą stanowił nieźle opanowany w słowie i w piśmie język francuski. Muzyki uczył mnie bezinteresownie jeden ze znajomych najstarszej siostry. Podstawy francuskiego posiadłem w wydziałówce u znakomitej nauczycielki, a do perfekcji doszedłem poza szkołą, ucząc się w zamian za nasze domowe obiady („naje się siedmiu, to naje się i ósmy") u starej emerytowanej nauczycielki, mademoiselle Antoniny Jastrzębiec-Klepaczewskiej (cała tytulatura ściśle obowiązywała) i z dodatkową pomocą najmłodszej siostry, która miała dużą łatwość opanowywania języków obcych, zresztą później została filologiem angielskim.

Muzyczna strona wykształcenia seminaryjnego była niesłychanie ważna, władze szkolne wychodziły bowiem ze słusznego założenia, że działając przeważnie w środowisku wiejskim, nauczyciel musi prowadzić wszechstronną działalność kulturalną, a więc między innymi pielęgnować pieśń i taniec ludowy, opiekować się domorosłymi kapelami, prowadzić chór. Dodajmy, że ta teza sprawdziła się w moim życiu, gdy po wojnie rozpocząłem pracę nauczycielską akurat na wsi.

Dobry słuch muzyczny, który stwierdzono u mnie już przy egzaminie wstępnym, nie uratował mnie jednak od klęsk, jakie mnie później dotknęły. Na nic się to bowiem nie zdało, że rozpocząłem naukę z dobrymi prognozami.

Z zapałem przemierzałem każdego ranka dość daleką drogę z Łazarza przez Most Dworcowy i przyległe do kolei zaułki aż do ulicy Skarbowej (dziś Chudoby), by wejść do obskurnego budynku przy ulicy Franciszka Ratajczaka. Wtedy nie odczuwałem całej szpetoty starej rudery z rozchwianymi, skrzypiącymi podłogami z żywych desek. Taki był gmach Seminarium Nauczyciel-

skiego Męskiego (zresztą żeńskiego też) imienia Ewarysta Estkowskiego w Poznaniu. Za nim roztaczało się ciasne podwóreczko. Drugi bok szkoły stanowił wysoki mur, trzeci — ślepa ściana trzypiętrowej kamienicy, czwarty — przedpotopowe drewniane ustępy, nie skanalizowane, zalatujące potwornymi smrodami. To ohydne podwóreczko służyło spacerom podczas pauz, a prócz tego ćwiczeniom z przysposobienia wojskowego i sportom. Może dlatego nigdy nie polubiłem gier piłkowych, przepadając zarazem za gimnastyką, odbywaną w małej, lecz czystej i przytulnej salce.

Może zupełnie inaczej potoczyłyby się moje losy uczniowskie, gdyby nie dyrektor seminarium, Julian Waga — człowiek zgryźliwy, nieprzyjaźnie usposobiony do młodzieży. W każdym razie był taki wtedy, bo ponoć wcześniej jego podejście do wychowanków kształtowało się inaczej. Zmienił się podobno i później, zdążywszy już niestety w ciągu kilku lat pokrzyżować drogi życiowe wielu uczniom seminarium, takim jak na przykład późniejszy śpiewak operowy Bardziejewski, jak Jabłoński, Błochowiak, Paradowski i inni.

Zaczęło się wszystko od tego, że Waga obrzydził mi historię, której uczył metodą paznokciową, zadając od tego to do tego miejsca w podręczniku Nankego. Za pierwszymi dwójami z tego przedmiotu posypały się dalsze, z języka polskiego, skwapliwie stawiane przez starego zrzędę Peruckiego. Potem już nastąpiła cała lawina niedostatecznych. Nie doszłoby zapewne do niej, łatwiej przebrnąłbym przez szkolne niedogodności, gdyby nie domowa atmosfera uniemożliwiająca skupienie się nad nauką i zadaniami.

Z pewnością inaczej mogłyby potoczyć się moje losy, bo byli w seminarium dobrzy nauczyciele, których do dziś wspominam z sympatią i czcią, Jan Sztaudynger, Janusz Nowak, następny po Peruckim polonista, Jan Patoka, w latach powojennych długoletni redaktor w Państwowym Zakładzie Wydawnictw Szkolnych; uciekł z seminarium od Wagi i już przed wojną zaczął pracować poza szkolnictwem. I jeszcze matematyk, Leonard Klóskowski, jowialny, lecz mądrze życzliwy człowiek, który krzycząc na młodzież, czynił to w jej obronie; należał do najzapalczywszych działaczy poznańskiej Rady Miejskiej. A także ksiądz Antoni Gryczka, który po odejściu

powszechnie nielubianego księdza Tadeusza Nowakowskiego z miejsca zjednał sobie nasze serca i byłby ponawracał samą serdecznością najgorszych bezbożników, gdyby dłużej pozostawali pod jego opieką; długo jeszcze po opuszczeniu szkoły odwiedzałem go w mieszkaniu przy Grochowych Łąkach. Plastyk Beer, wspaniale wykładający zasady ornamentacji i perspektywy, światła i cienia; nauczyłem się od niego tyle, że później mogłem niekiedy sam sobie wykonywać winiety do swych utworów. Geograf Szałankiewicz, dobry, serdeczny ojciec i przyjaciel młodzieży, pielęgnujący miłość do ojczystego kraju na każdej lekcji. Germanista Tadeusz Głogowski, wymagający, lecz życzliwy, ze świetnym podejściem pedagogicznym, któremu odwdzięczyłem się świetnymi postępami w przedmiocie nie tylko dzięki temu, że języki opanowywałem w lot; czyż nie on pozwolił mi przetrwać okupację przy pomocy dobrej znajomości języka wroga? Gimnastyk Józef Waxman, traktujący sport jak coś szlachetnego, co bardziej jeszcze od ciała powinno rozwijać duszę człowieka; to on jako pierwszy w Polsce wprowadził gimnastykę poranną w poznańskim radio, dopiero po nim nastał długoletni gimnastyk radiowy, Karol Hoffman.

Ci wszyscy ludzie — zresztą także jeszcze inni — nie przestali być mi życzliwi nawet wtedy, gdy dyrektor Waga nalatywał na mnie z uporem godnym lepszej sprawy, zamiast przyjść mi z pomocą. To ci ludzie kształtowali — w każdym razie w jakimś stopniu — moją osobowość.

Ale wydaje mi się, że kształtowało ją przede wszystkim środowisko koleżeńskie.

Seminaria nauczycielskie były szkołami czysto proletariackimi, do których pięła się biedota, mająca ambicję wyprowadzenia dzieci na ludzi. Status nauczyciela, podobnie jak status księdza, należał do marzeń ludzi prostych. Czesne w zakładach kształcenia nauczycieli było zawsze niższe niż w gimnazjach, a w dodatku w dość licznych przypadkach udzielano zniżek. Na przykład ze wsi, z których do gimnazjów uczęszczali przeważnie synowie bogatych chłopów — do seminariów trafiało sporo dzieci małorolnych i robotników rolnych. Nic dziwnego, że nauczycielski związek miał charakter proletariacki i należał zawsze do najbardziej postępowych w Polsce.

Chłopcy, przychodzący na ulicę Ratajczaka z robotni-

czych czynszówek i wiejskich chałup, wyrastali na pięknych ludzi. Iluż ich powinienem tu wymienić! O Florianie Jernasie, Franciszku Grotcie, Stanisławie Strugarku opowiem dalej nieco więcej. Jeszcze przed moim przyjściem ukończyli szkołę znani i dzielni działacze harcerscy, którzy w większości polegli za ojczyznę. Wśród nich byli na przykład Franciszek Laurentowski — prorektor PWF, wizytator Jan Wawrzyniak, Franciszek Goździoł — współtwórca Szarych Szeregów. A z moich kolegów? Długoletni wicekurator Stefan Basiński, wizytator Wiktor Grajek, inspektor Karge. Wysoki, sympatyczny dryblas, uczynny kolega Franciszek Szczerbal — to po wojnie wieloletni wojewoda poznański i później przewodniczący Frontu Jedności Narodu. Pogodny, bębniący w każdej wolnej chwili na fortepianie Kazimierz Czajkowski — to późniejszy uczony, wybitny specjalista z zakresu pedagogiki, przedwcześnie zmarły autor interesujących książek na tematy wychowania, długoletni dziekan filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białej Podlaskiej. Było ich wielu. Jedni wyrośli na dyrektorów i wizytatorów szkół, inni stali się wybitnymi fachowcami w różnych dziedzinach gospodarki i kultury narodowej, nie tylko w szkolnictwie. Są wśród dawnych seminarzystów — albo byli, bo wielu już pomarło — i plastycy, i muzycy, i śpiewacy, i uczeni.

Z nielicznymi wyjątkami byliśmy pokoleniem zbuntowanym przeciw ówczesnemu ładowi społecznemu, przeciw porządkowi niesprawiedliwości i niedostatku.

Przyjaźniłem się z synem robotnika kolejowego z Wildy, Antkiem Stempczakiem, którego w pewnym okresie kochałem jak brata, pod którego wpływem pisałem wiersze o przyjaźni, recytowane po moim wyjściu ze szkoły na estradach poznańskich i w radio. Długo by szukać tak wspaniałego kolegi i przyjaciela, na którym można było polegać z zamkniętymi oczyma. Dyskutowaliśmy godzinami nad zbawieniem świata, a przede wszystkim Polski, wykrzykiwaliśmy niekiedy na ulicy buntownicze maksymy skierowane przeciwko rządom i posiadaczom. Później nasze drogi rozeszły się, a odnowiliśmy naszą przyjaźń dopiero w ostatnim dziesięcioleciu.

Najdłużej i właściwie bez przerw przyjaźniłem się z synem furmana z Osiedla Warszawskiego, Leonem Mocydlarzem, późniejszym długoletnim dyrektorem administra-

cyjnym Instytutu Fizyki Molekularnej Polskiej Akademii Nauk w Poznaniu. Gdy piszę te słowa, nasza przyjźń na dobre już wkroczyła w drugie półwiecze. Czy to nie z nim razem najsilniej kształtowaliśmy nawzajem swe światopoglądy?

Nie byliśmy bynajmniej tacy podobni do siebie. Leon przejawiał postawę racjonalistyczną, ja byłem roztrzepańcem i rozparzeńcem o ciągotach poetyckich, przejawiającym swą niezależność łamaniem dyscypliny, nicnierobieniem, głoszeniem z zasady poglądów diametralnie sprzecznych z obowiązującymi.

Lecz wychodząc z całkowicie odmiennych postaw: Leon z intelektualnej, a ja z emocjonalnej — spotykaliśmy się razem na platformie buntu przeciw panującej rzeczywistości, a zwłaszcza sceptycznego stosunku do spraw wiary. Odmienne punkty wyjścia nie tylko nam nie przeszkadzały, lecz tym bardziej zbliżały nas: uzupełnialiśmy się. Wzbogacało to nasze rozmowy, nasze dyskusje z kolegami, nasze boje z księdzem Nowakowskim na lekcjach religii.

Efekty naszego buntu były jednak dla każdego z nas odmienne. Mój pobyt w seminarium zakończył się źle. Leon ukończył je chlubnie, po prostu dlatego że racjonalna postawa buntu okazała się jeszcze raz lepsza od postawy emocjonalnej. Ja wyleciałem ze szkoły, Leon zdobył zawód nauczycielski. Odwiedzałem potem swego przyjaciela na Osiedlu Warszawskim, dokąd odbywałem długie wyprawy. Odwiedzałem go, gdy był jeszcze uczniem, a także później, gdy był już nauczycielem i cenionym działaczem harcerskim.

Ale przecież i ja jeszcze na ławie szkolnej odnosiłem sukcesy, przede wszystkim jako poeta. Moje nazwisko figurowało już w pierwszym numerze szkolnego pisemka „Życie Radosne", które samorząd szkolny wydawał na powielaczu. Rychło w praworządnych wyborach ustanowiono mnie kronikarzem szkolnym. A ponieważ księga kroniki spoczywała w szafie gabinetu dyrektorskiego, zawsze gdy było coś do napisania, uzgadniałem z Wagą, którego dnia i podczas jakiej lekcji dokonam w tymże gabinecie kolejnego wpisu. Przesiedziałem więc w jego niezbyt dużym pokoju niejedną godzinę. I dzisiaj myślę: dlaczego ani razu nie wykorzystał takiej okazji, by po-

rozmawiać ze mną jak ojciec i wniknąć w przyczyny mych niepowodzeń?

„Życie Radosne" ukazywało się przez cały rok kalendarzowy 1930. Mam jego komplet w odbitce kserograficznej i z łezką w oku przeglądam jego kartki. Mój wiersz *Do pracy* w pierwszym styczniowym numerze następował po artykule o patronie szkoły, Ewaryście Estkowskim. Było jeszcze w tym numerze o laureatach Nobla i szkolnym teatrze, o drużynie harcerskiej, sodalicji mariańskiej i sporcie. Znajduję też prozę poetycką starszego o rok czy dwa kolegi Leona Puzickiego — utalentowanego poety i skrzypka. W kolejnych numerach całego roku nie brak materiałów literackich, są oczywiście także publicystyczne i kronikarskie, obficie obradzał co miesiąc dział rozrywek umysłowych. Dużo humoru — częściowo płodzonego przeze mnie.

Wszystko w tym czasopiśmie robiliśmy sami: pisanie, redagowanie, ilustrowanie, powielanie, administrację, kolportaż. Były te gazetki (bo wychodziła w seminarium i druga, „Przyrodnik", organ koła przyrodniczego) szkołą życia i pracy, wdrażały do odpowiedzialności i samorządności, stanowiły poligon pisarski, uczyły działalności zespołowej. Obok trudu — przysparzały nam ogromnej satysfakcji, jaką stanowi możność pisemnego wypowiadania się.

Nie mieliśmy wtedy takich powielaczy, jakie istnieją dziś. Każdą kolejną kartkę trzeba było odbić przy pomocy lepkiej farby, uprzednio przeciągnąwszy po matrycy czarnym wałkiem gumowym. Trzaskaliśmy więc „Życie Radosne" i „Przyrodnika" na tej straszliwej maszynie z łapami farbą umazanymi, bacząc, by nie upaskudzić sobie ubrań.

Jak widać, byłem w redakcji najmniejszym pionkiem. Skład jej zmieniał się zresztą często. I było to słuszne, bo w ten sposób większa ilość uczniów mogła przejść przez szkołę wydawania gazetki. Ja nabyłem w niej między innymi zamiłowania do drukarstwa, które później, po opuszczeniu szkoły rozwijałem w sobie przy różnych okazjach. No i do dziennikarstwa.

Na stronicach „Życia Radosnego" widzę nazwiska, które później weszły na łamy poważnych czasopism i na kartki książek. Dużo pisywał do tego pisemka Stanisław Strugarek, jeszcze więcej Franciszek Grott. Ale zanim

napiszę o tych i innych seminarzystach, muszę szerzej opowiedzieć o co najmniej dwóch profesorach uczelni z ulicy Ratajczaka.

Mój wychowawca. Jan Sztaudynger

Pamiętam go tak dobrze z innych przyczyn niż te, dla których pamięta się wielu ludzi. Pozostawił po sobie co prawda rzeczy godne pamięci, lecz ja mam swe własne, osobiste przyczyny. Dadzą się sprowadzić do ogólnego stwierdzenia, że wycisnął piętno na moim życiu.

Gdy tylko go wspomnę, zaraz nadlatują obrazy...

Zima, śnieżna zima... Wycieczka całej klasy szkolnej kuligiem za miasto, na górę świętej Anny. Jedziemy za końmi długim sznurem sań, z końskich kopyt sypią się kaskady śniegu, mieniące się w słońcu. On konwojuje ten sznur, sunąc obok na nartach. Jego narciarska sprawność w naszym nizinnym mieście stanowiła coś zupełnie nadzwyczajnego. Uczęszczająca do seminarium młodzież proletariacka nie widywała niczego takiego, nie bywała przecież w górach, narciarstwo było dla nas sportem elitarnym. Patrzyliśmy z podziwem na niego — naszego wychowawcę — takiego wspaniałego narciarza.

Byliśmy dumni z niego — z Jana Sztaudyngera — nie tylko z tej przyczyny, bo przyczyn było wiele. Czy tylko dumni? Oto widzę dziś, choć minęło od tej chwili pół wieku: sznur sań zatrzymuje się, a on —już bez nart — stoi z bochnem chleba i z nożem w ręku. Niczym Chrystus z biblijnych obrazków, obdziela nas grubymi skibami. Jakże smakuje taki chleb na śniegu! Zapamiętałem to jako gest z jego strony bardzo ojcowski.

Ale jeżeli już zima i narty, to zacytuję tutaj fragment wiersza, o którym krytyk literacki (i co prawda przyjaciel Sztaudyngera) Wojciech Natanson napisał w swojej książce, że brzmi jak przeczucie ludowych jasełek Ernesta Brylla:

Matka Boska na nartach
Zjechała z gór Beskidu
(A dobrze jeździć umie,
Nie zrobi narciarzom wstydu).

W sukience do samej ziemi
I dwoma świecami w dłoni
Zjechała, jak miesiąc śliczna,
Z wysokich śląskich groni...

Wiersz ten — właściwie bajeczka w postaci kantyczki — straszne wywołał oburzenie w tłumie ówczesnych katolików polskich. Pochodzi z wydanego w roku 1934 tomiku lirycznego pt. *Kantyczki śnieżne*. Napisał go późniejszy fraszkopis, który wtedy jednak był jeszcze przede wszystkim lirykiem, a w każdym razie bardziej lirykiem niż satyrykiem, na fraszki zaś przerzucił się na dobre dopiero parę lat po ostatniej wojnie. I zawsze miał żal do czytelników, że nie uznali go jako liryka, że przeciętny Polak nic nie wie o jego poezji.

Gdy go wtedy napastowano za wiersze o Matce Boskiej, stawałem po jego stronie. Był przecież za moich lat szkolnych takim wychowawcą, którego można zarazem mienić przyjacielem. I pozostał takim do końca. Dla mnie przecież był jeszcze mistrzem — mistrzem według dawnych obyczajów artystycznych.

Pamiętny ów dzień, gdym zobaczył go po raz pierwszy. Wszedł do klasy wysoki i chudy, lekko przygarbiony, o pociągłej twarzy. Badaliśmy tę twarz, jak to uczniowie, lecz bez szczególnych rezultatów. Nie, żeby pozostał nie rozszyfrowany, tylko, że jak pierwszego dnia, tak i ostatniego, nasze poglądy na wychowawcę były rozmaite i sprzeczne. Stosunek do tej postaci zza katedry wahał się od podziwu i uwielbienia do niechęci, której towarzyszyło konfidencjonalne podpatrywanie. Poza tym stosunek poszczególnych uczniów do nauczyciela zmieniał się, a amplituda tych wahań była niekiedy duża. Nie widziało chyba poznańskie seminarium nauczycielskie drugiego profesora, któremu by uczniowie wystawiali tak niejednolite i zmienne cenzury.

Wracam do dnia pierwszego. Oto wszedł do klasy, przedstawił się nam jak najformalniej:

— Nazywam się Jan Sztaudynger. Jestem polonistą, doktorem filozofii. Zajmuję się także twórczością poetycką. Będę od dziś wychowawcą waszego kursu. Będziemy także wspólnie uczyli się języka polskiego.

Potem myśmy się jemu według listy w dzienniku szkolnym kolejno przedstawiali. A wreszcie rozpoczęła się, na

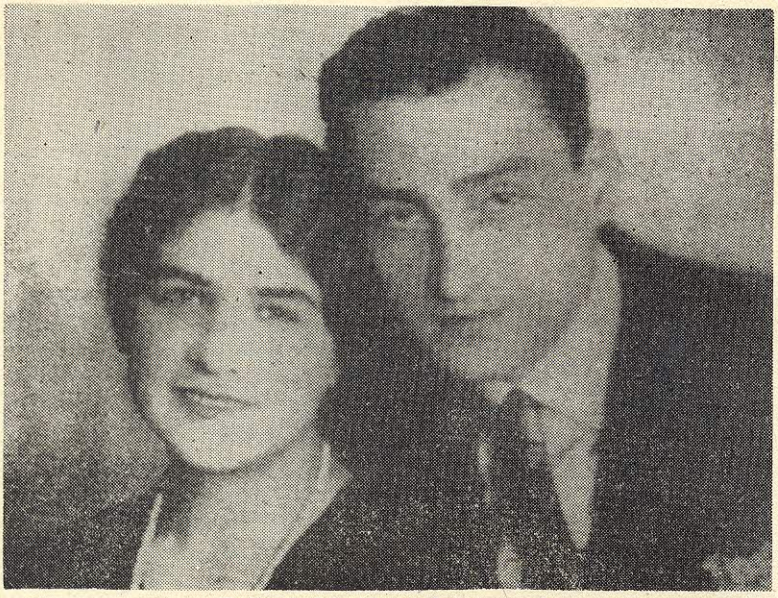

Zofia i Jan Sztaudyngerowie

sam początek nauki, próba czytania. Zwracał się do nas per pan. Tego jeszcze nie było, żeby szesnastolatków nazywano panami! W okresie międzywojennym nie należało to do szkolnego obyczaju. Może on czynił to dlatego, że był tylko 10 lat starszy od nas? A od wielu na najwyższym kursie tylko pięć?

Co prawda zrezygnował z tej formy po jakichś dwóch tygodniach, lecz czas ten wystarczył w zupełności, bym do końca życia zapamiętał jeden zwłaszcza zwrot — nie do mnie, przysięgam, adresowany — Pan nie umie czytać!

Nie mieliśmy jeszcze odwagi ryczeć głośno ze śmiechu, ja w każdym razie z tej tak paradnie postawionej diagnozy ryczałem wewnątrz, w sobie, w chwili jej wygłaszania, a głośno przy każdym jej wspomnieniu.

Nie przyszedł do nas całkiem obcy, bo wiedzieliśmy już o nim to i owo. Słyszeliśmy, że wychowawcą naszej klasy będzie młody, początkujący nauczyciel po stażowej praktyce, lecz za to z dwoma doktorami — z filologii polskiej i historii — a na dobitek poeta. Kilku z nas wiel-

biło go już awansem przed pierwszym ujrzeniem, choć — przyznam się — nie znaliśmy jeszcze jego wierszy. Mnie osobiście, któremu polonista Perucki wyrypał dwóję na świadectwie, myśl o nowym nauczycielu była bardzo miła, bo pisałem już od kilku lat. Gdy ujawniłem się przed nim jako liryk — nie zawiodłem się. Och, jak potrzebna była mi jego pomoc! Gdybyż jeszcze nie istniały antagonizmy między nim a dyrektorem!

Moja uczniowska kariera w seminarium była już wtedy zachwiana. Waga chciał mnie wyrzucić ze szkoły. Później wyrzucał mnie dwa razy, za drugim razem radykalnie, choć Sztaudynger wspólnie z niektórymi innymi nauczycielami walczył o mnie.

Bronił zresztą nie tylko mnie. Stawał w obronie wszystkich odmieńców, z którymi walczył dyrektor, uznający tylko grzecznych, ulizanych przeciętniaków i kujonów. Mnie nie wychodziło na dobre to, że byłem szkolną sławą nie tylko jako poeta, lecz także jako skrzypek i śpiewak, jako siłacz i bokser, a wreszcie jako niezawodny w germanistyce i może w czymś tam jeszcze. Miałem autorytet wśród kolegów, wybierali mnie na stanowisko przewodniczącego samorządu klasowego. A Waga nie znosił tych, co wyłamywali się ze sztampy. Pojmuję to dziś, choć nie usprawiedliwiam.

Sztaudynger lubił właśnie — jak się rzekło — odmieńców. Między nim a Wagą leżały i inne jeszcze kamienie niezgody. Dyrektor był fanatycznym endekiem, a Sztaudynger nie miał żadnych powiązań politycznych poza tym, że cechowała go niechęć do endecji. Potrafił głosić poglądy bardzo czerwone, co odpowiadało nam — zbuntowanym chłopcom, których rodzice odejmowali sobie od ust, by móc płacić czesne za najtańszą w Polsce szkołę średnią, jaką było seminarium nauczycielskie. Potrafił jednak snuć i kantyczki o Matce Boskiej na nartach. Jedno drugiemu nie przeszkadzało człowiekowi serdecznie nastawionemu do świata i ludzi.

Przepadała za nim większość uczniów. Zdarzali się jednak chłopcy tępi, a ci doprowadzali naszego polonistę do wybuchów. Przemieniał się czasem w kłębek nerwów, gdy ktoś nie mógł zrozumieć jego jasnego, przystępnego wykładu. Bo Sztaudynger nie postępował według zasady „zniżania się do umysłowości ucznia", lecz próbował podciągać słuchaczy wzwyż, do poziomu własnego. Wspa-

niale realizował tym sposobem zasadę szacunku dla wychowanka. Lecz nie potrafił zapanować nad nerwami, gdy trafił na serię tępaków, którym nie szła do głowy lekcja. Brał na spytki jednego za drugim, bo chciał, żeby zrozumieli go wszyscy. Wypytywał najsłabszych po kolei, tłumacząc każdemu z osobna, nie cofając się nawet przed krzykiem, pstrykaniem w nos i ciągnięciem za ucho. Oczywiście żałował potem takich wyczynów, a niekiedy nawet przepraszał za nie, czym bynajmniej nie ujmował sobie autorytetu.

Gdy nerwowe rozdrażnienie wreszcie go zmęczyło, zaczynał czasem chytrze się uśmiechać i wynajdywać sposoby, trafiające do naszej uczniowskiej mentalności i do sztubackich zainteresowań. Oto na przykład wyrwał pewnego razu na lekcji gramatyki rudego chłopaka o cerze albinosa i niezdarnych ruchach — Florka Luxerka. Postawił go obok katedry i przez jakiś czas szeptał przerażonemu coś do ucha. Chodziło o tworzenie form żeńskich od męskich. Uczeń w miarę słuchania rozjaśniał się, wreszcie całkiem się roześmiał i z rozpromienioną gębą dał nauczycielowi odpowiedź — także do ucha. Jak się dowiedzieliśmy po lekcji z jego relacji — pojął zasadę gramatyczną dopiero na wulgarnym przykładzie „dupa". Dodam, że Luxerek w nieznanych okolicznościach zginął w roku 1939.

Nie zawsze takie „sukcesy" pedagogiczne kończyły się pomyślnie. W naszej klasie — podobnie zresztą jak w innych — istniała donosicielska komórka, sprawiająca, że wszystko, co trzeba, dochodziło do uszu dyrektora Wagi. Ci, co donosili na Sztaudyngera, nie musieli go nienawidzić. Donosili, na kogo było trzeba, także na swoich kolegów. Wystarczyło, że byli ślepo posłuszni dyrektorowi, a donosy uprawiali jako cnotę.

Doprowadziło to w końcu do tego, że Sztaudynger zrezygnował z pracy nauczycielskiej. Nie mógł przede wszystkim współżyć z dyrektorem Wagą. Ale wyniósłszy się z seminarium, awansował na wizytatora kuratoryjnego. A siedząc przy biurku, pisywał wiersze... Rozniosło się to po urzędzie i doszło do uszu samego kuratora. Ten jednak szanował i cenił poetę, więc wydał pisemną decyzję, udzielającą doktorowi Janowi Sztaudyngerowi prawa pisywania utworów literackich w czasie godzin służbowych. Wizytator odwdzięczył mu się za to fraszką

brzmiącą krótko: „Mądry Polak po Namyśle." Trzeba tu wyjaśnić, że kurator nazwiskiem Polak był następcą kuratora nazwiskiem Namysł.

Grono przyjaciół i wielbicieli Sztaudyngera było jednak liczne. Nie ograniczało się do adeptów pióra. Koledzy, których dziś jeszcze spotykam, pamiętają wszystkie mieszkania państwa Sztaudyngerów w Poznaniu. Wszyscy bowiem bywali u nich rzadziej czy częściej, idąc z jakąś pomocą czy sami dla siebie poszukując ratunku. A przecież zazwyczaj nie znaliśmy adresów naszych nauczycieli. Ja sam bywałem u swego wychowawcy i w tamtych poznańskich mieszkaniach, i podczas wojny w Malicach, a po wojnie w Łodzi i w Zakopanem.

Ale też ja — podobnie jak Florian Jernas i Franek Grott (bo Stasia Strugarka nie było już wtedy w szkole) — miałem z nim szczególne powiązania. Należał do grona pierwszych czytelników naszych młodzieńczych wierszy. Odkrywał w nas poetów nie tylko poprzez te wiersze, lecz i poprzez wypracowania szkolne. Prowadził nas ku literaturze.

Strofował nas i zachęcał, ganił i chwalił. Przepuszczał przez magiel pierwszej krytyki — surowej, rzeczowej, lecz przyjaznej, pouczającej.

Jako pierwsze zwróciły jego uwagę moje wypracowania. Gdy pozwalał na wybór tematu, podejmowałem zwykle tak zwane tematy wolne i puszczałem wodze fantazji. Któregoś razu przydarzyło się, że napisałem wypracowanie wierszem, a okoliczności tego dziś doskonale pamiętam.

Sztaudynger organizował świetne ćwiczenia w mówieniu i pisaniu. Pewnego dnia wyprowadził klasę na jesienną wycieczkę do Dębiny, tam zatrzymał nas w lesie, wskazał wycinek krajobrazu i kazał go ustnie opisywać. Gdyśmy wrócili do szkoły, przystąpiliśmy do opisu w zeszytach. To wtedy powstał ów wiersz. Jesienny wiersz o lesie. Zawsze przepadałem za jesiennym krajobrazem, który poruszał we mnie całą lawinę smętku. Lubię dziś jeszcze tę porę roku. W trzech strofkach dokładnie opisałem wskazany kawałek lasu, nie szczędząc porównań i metafor.

Przynosiliśmy mu swoje poetyckie płody na spotkania po lekcjach: Jernas, Grott i ja. Czytaliśmy, ocenialiśmy nawzajem nasze utwory. Do niego należało oczywiście

ostatnie słowo, lecz wypowiadał je tonem bynajmniej nie kategorycznym, występując w roli równouprawnionego partnera.

Do najlepszych jego zdaniem utworów moich należał wiersz o prostytutce. Był to zwykły opis autentycznej dziewczyny, która zaczepiła mnie na ulicy. Cała poezja tego opisu tkwiła w kontraście jej zewnętrznego wyglądu z uprawianą profesją. Była zapewne biedna, jak większość dziewczyn tego zawodu w owych czasach. Wyglądała skromnie, szła ulicą podobna raczej do zakonnicy. I na tym akcencie skupiał się mój opis. Aż tu z nienacka kontrast, wynikający z zaczepki: „Chodź ze mną, chłopczyku..."

Oceniał i poprawiał moje wiersze przez kilka lat. Gdyśmy już obaj opuścili seminarium nauczycielskie, pozostaliśmy nadal w bliskich kontaktach. Pomógł mi wejść do „Wici Wielkopolskich". Zapoznał z Arturem Marią Swinarskim i przez niego wprowadził do Klubu Szyderców Pod Kaktusem. Aż wreszcie pobłogosławił na cierniową drogę literacką, pisząc przedmowę do mego debiutanckiego tomiku poetyckiego *Krzyż na rozdrożu*. Charakteryzował mnie:

Cygan. Jakby z paczki Przybyszewskiego. Głowa inteligentna, ciekawa, uparta. Wzrok ponury. Śmiech szyderczy. Spojrzenie spode łba.

Nie wytrzymał w seminarium nauczycielskim, gdzie chodził razem ze mną: on w charakterze ucznia, ja w charakterze nauczyciela. Pewnego dnia nagle porzucił szkołę [...]

[...] Wiersze są twarde i chropawe, jak on. — Dosadne, trafne i zuchwałe, jak on. — Czuć w nich rogatą duszę. Nie przebierają w słowach. Są częstokroć nieporadne w swej buńczuczności i zielone w pozie na dojrzałość. Może przypadną do serca ludziom, którzy cenią prostotę i szczerość [...]

Pozostał życzliwy i później, a dowód tej życzliwości otrzymałem także podczas okupacji hitlerowskiej. Otóż znalazłszy się w roku 1944 po raz któryś z rzędu na liście poszukiwanych przez hitlerowską policję, napisałem do Sztaudyngera. Musiałem zniknąć na dłuższy czas nie tylko z Białej Podlaskiej, z której akurat uciekłem, lecz także z Szydłowca, do którego schroniłem się z żoną i dzieckiem.

Sztaudynger większą część okupacji przeżył w majątku

Malice pod Opatowem, która to posiadłość stanowiła własność jego kuzyna. Otrzymawszy od niego pozwolenie na przyjazd — a właściwie wyraźne zaproszenie — zostawiłem w Szydłowcu żonę z synkiem i pojechałem do Malic. Trzeba było od Opatowa brnąć kilka czy kilkanaście kilometrów polami, lasami, wąwozami. Administrator majątku zgodził się, bym został stróżem ogrodowym. Pełniłem tę funkcję przez cały kwartał. Mogłem dużo czytać w pałacowej bibliotece. Gdy wyjechałem — a zbliżała się już ze wschodu zawierucha wojenna — mój wychowawca poszedł w moje ślady i też pełnił funkcje stróża, by nie jeść za darmo chleba i mieć uzasadnienie dla swego pobytu w Malicach.

Miejscowość ta leżała właściwie w okolicy, znajdującej się jakby na polskiej ziemi, poza zasięgiem niemieckiej administracji. Okupanci nie pokazywali się tam po kilku potyczkach z partyzantami, które miały tam miejsce w pierwszych latach okupacji. Omijali Malice po prostu ze strachu. Jedyną łączność zapewniali sobie przez granatowego polskiego policjanta. Był on jednak „oswojony" i tylko pozornie służył Niemcom, w rzeczywistości zaś Polakom. To właśnie on — pogrzebawszy w policyjnych aktach — potwierdził moje przypuszczenie, że znalazłem się znów na czarnej liście poszukiwanych przez gestapo.

Sztaudynger był wtedy jeszcze lirykiem, zbierał grzyby, na których znał się świetnie, i napisał o nich ogromny, nigdy nie opublikowany poemat.

Po wojnie — gdy moje drogi na długo rozeszły się z literaturą — wymieniliśmy ze Sztaudyngerem tylko kilka listów i kartek. Gdy później wróciłem do życia literackiego, spotykaliśmy się raz po raz na zjazdach i imprezach literackich. Kilka razy odwiedziłem go w Łodzi i w Zakopanem. Został po staremu serdeczny i życzliwy. Taki, jakim go ludzie pamiętają. Ale na papierosa musiałem wychodzić z pokoju, tak zatwardziałym był wrogiem palenia.

Dziś już mamy wszystko poza sobą. On żyje jeszcze w mej pamięci, ja w jego pamięci już umarłem, bo leży w grobie. Pozostało mi jego zdjęcie z dedykacją, pozostały tomiki poezji, prozy, fraszek. Korespondencję oddałem córce poety, Annie. Tej samej, którą tuż po narodzinach oglądałem w wózeczku, tej samej, z którą w Malicach chodziliśmy na grzyby, gdy miała lat około dwunastu.

Pozostał Sztaudynger jednym ze świętych moich lat młodzieńczych — razem z innymi wspaniałymi postaciami, które miałem szczęście poznać. Lecz był dla mnie czymś więcej jeszcze: moim mistrzem, moim przewodnikiem po poplątanych drogach literatury.

Aż korci mnie, by to krótkie wspomnienie zakończyć jedną z fraszek mego nauczyciela, wychowawcy i przyjaciela. Tytuł jej brzmi *Niewygodna młodość*.

I na cóż nam ta młodość cała
I cała nasza nad nią praca?
Za młodu od niej się ucieka,
Na starość do niej się powraca.

Nauczyciel muzyki. Janusz Nowak

11 listopada któregoś roku w auli seminaryjnej odbywała się akademia okolicznościowa w rocznicę Odrodzenia Polski. Nie pamiętam z niej nic, lecz bardzo dokładnie zapamiętałem na zawsze jeden szczegół z jej programu. Sztaudynger siedział jak zwykle z profesurą w pierwszym rzędzie krzeseł. To on był jednym z bohaterów dnia. Drugi stał na podium. Przy fortepianie czekał któryś ze starszych uczniów. Inny zapowiedział utwór naszych nauczycieli pod tytułem *Rozmowa Nieznanego Żołnierza z Ojczyzną*. Słowa — Jana Sztaudyngera, muzyka — Janusza Nowaka, wykonanie kompozytora.

Janusz Nowak uczył muzyki i śpiewu, prowadził chór szkolny i orkiestrę. Przepadaliśmy za nim wszyscy. Od pierwszej do ostatniej chwili mego pobytu w seminarium czoło jego nie zaszło chmurą, pozostawało wiecznie pogodne, a oczy wyrażały niezmiennie życzliwość. Był wspaniałym nauczycielem. Sam wiele umiał, a potrafił to wiele przekazać uczniom interesującymi metodami.

Był autentycznym śpiewakiem. Występował na koncertach w mieście, od czasu do czasu zapraszano go na gościnne występy do najlepszej w Polsce opery — Opery Poznańskiej. Chodziliśmy wtedy w gronie kolegów w uroczystym nastroju do solennego gmachu pod zielonym pegazem. Trafiało wtedy do niego wielu i z seminariów nauczycielskich, i z wyższych kursów pedagogicznych, których był wykładowcą. Czekaliśmy niecierpliwie, aż w

operze *Żydówka* ukaże się kreowana przez niego postać kardynała i usłyszymy jeszcze raz jego czysty, potężny bas.

Występował także solo na szkolnych akademiach i uroczystościach, a śpiewał najczęściej pieśni Moniuszki. Za pieśń *Stary kapral* nagradzaliśmy go wyjątkowo huraganowymi oklaskami. Oczywiście, mieliśmy okazję słuchać go na co dzień, gdy w klasie demonstrował jakiś nowy utwór.

Teraz stał na podium szkolnej auli. Jak zwykle w nienagannym, uroczystym stroju, z nieodłącznym uśmiechem na twarzy. Począł nucić swym miękkim basem: „Żelazna kula mnie kołysała..." a jego uczeń przy fortepianie akompaniował mu. Sztaudynger uważnie wsłuchiwał się w swe słowa, brzmiące pięknie w śpiewnej, podniosłej melodii. Głos śpiewaka łamał się chwilami ze wzruszenia. Wszyscy na sali słuchaliśmy z zapartym tchem. Życzyliśmy ulubionym nauczycielom sukcesu i oto spełniał się on na naszych oczach. Pieśń kończyła się triumfalnym, patetycznym zdaniem, nałożonym na takąż frazę muzyczną: „Rzekła Ojczyzna: — Synu kochany, ty się nazywasz Żołnierz Nieznany". Gdy przebrzmiały słowa ostatniej strofy — aplauz nie miał końca.

Śpiewaliśmy potem ten utwór w klasach, następnie w chórze. Należał do najcelniejszych numerów seminaryjnego repertuaru. Nic dziwnego, że gdy po opuszczeniu szkoły redagowałem miesięcznik „Poranek", wydrukowałem pieśń — słowa z nutami — jako wkładkę muzyczną.

Był więc Janusz Nowak śpiewakiem i kompozytorem, instrumentalistą i autorem prac naukowych z zakresu muzykologii, nie mówiąc już o jego talencie pedagogicznym. Grał na kilku instrumentach. Na skrzypcach grywał na co dzień, uczył nas gry na nich. Do fortepianu siadał zarówno jako solista jak i akompaniator. W niedziele podczas obowiązkowych mszy w kaplicy szkolnej kładł palce na klawiaturze harmonium. Niekiedy towarzyszył na tym instrumencie popisom skrzypcowym naszego utalentowanego i uwielbianego kolegi Leona Puzickiego.

Gdy ktoś usłyszy, że Anna Wakarowa — żona mojego olsztyńskiego wydawcy — była moją uczennicą, nie dziwi się temu specjalnie, bo ogólnie wiadomo, że byłem zawsze przede wszystkim, a może nawet tylko nauczy-

cielem, choć uprawiałem także kilka innych zawodów. Gdy natomiast dowie się, że uczyłem Annę gry na skrzypcach — wyraża nie tylko zdziwienie, lecz niewiarę. A przecież tak było. Choć nie jestem nauczycielem muzyki.

Oczywiście, wykładałem przede wszystkim swoje przedmioty: pedagogikę i psychologię, lecz w szkole podstawowej uczyłem wszystkich przedmiotów, a i w szkole średniej kilku, bo w latach tuż po wojnie przy wielkim braku nauczycieli nie można było kręcić nosem. Dzieci w mojej szkole podstawowej potrafiły śpiewać bez końca, bo z największą pasją oddawałem się nauczaniu śpiewu i muzyki, prowadziłem także wiejski chór i ludową kapelę. Gry na skrzypcach uczyłem przez dwa lata, by pomóc staremu nauczycielowi muzyki, Franciszkowi Kędzierzawskiemu, gdy ten już ledwie ciągnął nadmiar godzin w liceum pedagogicznym w Bartoszycach.

Wzięło się to wszystko z prostego faktu, żem był uczniem Janusza Nowaka. Choć nie ukończyłem seminarium nauczycielskiego wystarczył mi nawet niedługi kontakt z nim, bym pewne umiejętności posiadł na całe życie. Utrwaliło się to nawet w mej twórczości poetyckiej. Jest taka strofa w wierszu pod tytułem *Paderewski* mówiącym o Powstaniu Wielkopolskim:

> Chełpią się starzy dookoła
> wspomnieniami koncertów twych w dalekim świecie.
> A ja pamiętam tylko: gdym chodził do szkoły,
> grałem drugie skrzypce w twoim menuecie.

Widzę go w pozie dyrygenckiej. Dłonie trzyma przed sobą, na wysokości łokci, palce lekko rozwarte, wskazujący styka się z kciukiem tworząc kółko. Skupiona twarz, ściągnięte usta, uważne i pogodne oczy. Nad nimi wysokie czoło z zatokami łysiny. Już słyszę, jak mówi: — Powtórzcie ten ton: aaaaaa... — Albo: — Ja stukam, a wy poznajecie. — I już ręka wystukuje kamertonem na ławce rytm, pod który należy podłożyć melodię, odgadując, o którą to pieśń chodzi.

Lekcje śpiewu i muzyki należały do najmilszych. Garnęliśmy się też chętnie do prowadzonego przezeń chóru, z dumą występowaliśmy pod jego batutą na uroczystościach szkolnych. Także w orkiestrze smyczkowej. Był znakomitym dyrygentem, w lot rozumiało się każde drgnienie jego rąk, każdy grymas twarzy. Nie można by-

ło grać źle, jeżeli się na niego patrzało, a trudno było nie patrzeć. Nie rozpoczynał próby, póki nie zapanowała zupełna cisza, póki nie uspokoił się ostatni z uczniów. Czekał na takiego ostentacyjnie, a myśmy go przywoływali do porządku. Dyscyplina podczas zajęć pozalekcyjnych z Nowakiem była doskonalsza niż podczas lekcji wychowania fizycznego czy nawet przysposobienia wojskowego. A była to dyscyplina świadoma, serdeczna, dobrowolna.

Po opuszczeniu szkoły miałem z nim luźne tylko kontakty, wojna rozdzieliła nas całkowicie. Po wielu latach niewidzenia, po okupacyjnych tragediach — nagłe spotkanie nastąpiło wiosną 1948 roku w Poznaniu. Powitaliśmy się bardzo serdecznie, opowiedzieliśmy sobie krótko przeżycia ostatniego czasu. Był wtedy profesorem Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej, należał do organizatorów życia muzycznego w Poznaniu po wojennej przerwie. Po kilkunastu dniach poczta przyniosła mi do Pławiec pod Środą jego książkę *Dyrygent chóru*. Są w niej zdjęcia przedstawiające postawę i gestykulację dyrygenta chóru. Modelem demonstrującym wzory jest... sam autor. Mam więc jakby cały album zdjęć ukochanego mistrza.

Później przez długi czas jedynie o nim słyszałem. Przeszedł na stanowisko rektora Wyższej Szkoły Muzycznej we Wrocławiu. A nawet gdy przeszedł na emeryturę — pozostał czynny, bo tacy jak on nie starzeją się nigdy. Gdy po 20 latach odwiedziłem go we Wrocławiu, jednym z pierwszych efektów naszego spotkania były dwie kompozycje: jego pieśni do moich wierszy.

Ale nie sposób nie wspomnieć tutaj, że i ja komponowałem. Zaczęło się to w okresie seminaryjnym pod niewątpliwym wpływem Janusza Nowaka, a z drugiej strony wskutek kontaktów z moim szwagrem, kompozytorem Tadeuszem Zygfrydem Kassernem. Muzyka przez jakiś czas konkurowała we mnie z poezją. A może i z plastyką? Tworzyłem króciutkie kompozycje, pisane w szkolnym zeszycie nutowym na jeden tylko głos.

Ciągoty do muzyki okazały się silniejsze od tych, które okresami prowadziły mnie ku plastyce. Nie przyćmiły zainteresowań poetyckich. Do komponowania powracałem jednak przez całe życie, tak jak powracałem do skrzypiec i innych instrumentów. Podczas okupacji ukła-

dałem patriotyczne piosenki wyszydzające hitlerowców. Od roku 1976 prowadzę jako prezes Oddziału Związku Literatów Polskich w Olsztynie plenery literackie dla nauczycieli polonistów i bibliotekarzy. Brać pedagogiczna przez kilka dni przebywa razem z pisarzami i dyskutuje z nimi. Do programu tych plenerów należą koncerty. Otóż na III Plener, odbywający się w roku 1978 na zamku w Nidzicy, obmyśliłem między innymi Koncert Trzech Pokoleń. Przyjechał z Wrocławia 82-letni Janusz Nowak, a z Bartoszyc mój uczeń i wychowanek, poeta Józef Jacek Rojek. Prócz tej podstawowej reprezentacji trzech pokoleń artystycznych znaleźli się na plenerze jeszcze inni, czynni aktorzy koncertu: mój przyjaciel z poznańskiej ławy seminaryjnej, Antek Stempczak, oraz dwie moje uczennice, jedna z liceum pedagogicznego w Leśnej Podlaskiej, druga z Bartoszyc. Prowadziłem koncert jako przedstawiciel środkowego piętra pokoleniowego, wiążącego całą gromadkę. Nowak śpiewał i *Starego kaprala*, i nasze wspólne pieśni, i wiele innych. Rojek czytał swoje wiersze. Inni też otrzymali role, czytaliśmy między innymi teksty Sztaudyngera. Impreza ogromnie się podobała, choć właściwie stanowiła jedną wielką improwizację. Jej walory artystyczne wiązały się ściśle z pedagogicznymi. Zaiste, był to koncert dla nauczycieli! Zawdzięczaliśmy go mojemu staremu nauczycielowi śpiewu, który zmarł we Wrocławiu w 1981 roku.

Seminarzyści

Spośród absolwentów Państwowego Seminarium Nauczycielskiego im. Ewarysta Estkowskiego w Poznaniu chwytali za pióro — prócz mnie — Franciszek Laurentowski, Stanisław Strugarek, Leon Puzicki, Franciszek Grott i Florian Jernas. Laurentowskiego nie miałem okazji poznać, należał do pierwszych roczników absolwentów.

Strugarek wyprzedzał mnie w seminarium, kończył je w tym samym roku szkolnym 1929/30, w którym ja repetowałem pierwszy kurs. Nie mieliśmy w tym czasie żadnych bliższych kontaktów. Stykaliśmy się jedynie na forum publiczno-szkolnym. Poznałem go mianowicie jako recytatora i aktora. Występował na wieczornicach szkol-

nych i w amatorskich przedstawieniach prezentowanych w naszej auli, której podłoga uginała się i skrzypiała, a deski podium grały niekiedy głośniej od instrumentów. Strugarek należał do czołowego grona działaczy harcerskich, więc najczęściej występował na harcerskich wieczornicach. Nie był jednak moim druhem, bo ja harcerską służbę zakończyłem w szkole wydziałowej.

Kolega Strugarek (bo tak należało zwracać się do starszego seminarzysty) recytował bohaterskim barytonem, zadziwiał siłą głosu. Pamiętam do dziś jego recytacje pieśni Kochanowskiego podczas wieczoru, poświęconego 400-setnej rocznicy urodzin poety. Recytator wyglądał nad wiek poważnie, budził respekt nie tylko wysokim poziomem wykonawstwa, lecz i samym wyglądem. Wydawał mi się prawdziwym aktorem. Gdy schodził z podium i wymienił ze mną jakieś dwa zdania, bo stałem przy drzwiach, zwróciłem się do niego nie per kolega, lecz per pan.

Był człowiekiem niespokojnym. Pracując jako nauczyciel, próbował i studiów pedagogicznych, i aktorstwa, aż wreszcie rozpoczął karierę radiową, którą wojna przerwała właściwie w samym zarodku. W tym okresie, rok, dwa przed wybuchem wojny, gdyśmy pewnego dnia spotkali się w poznańskim tramwaju, zagadał mnie tymi słowy:

— Słuchaj, Leonard, jak dostać się do „Kuriera" albo do „Orędownika"? A w ogóle to ty, jak słyszałem, jesteś już w Związku Literatów? Czy to trudno zostać członkiem?

Gorliwie namawiałem go, by udał się do Tadeusza Kraszewskiego w redakcji „Kuriera" i do Wujcia Czesia, czyli Czesława Kędzierskiego, z jakimiś utworami dla dzieci, wiedząc, że ten rodzaj twórczości powinien go interesować. Poleciłem mu także „Ilustrację Polską". On jednak trzymał się przede wszystkim radia, zwłaszcza satyrycznej audycji, wykonywanej w gwarze wielkopolskiej. Lecz do druku ciągnęło go. I pociągnęło. Bo oto w moich szpargałach z dawnych lat znajduję nauczycielskie pisemko „Siewca" wydawane w Poznaniu. Stanisław Strugarek figuruje w nim jako redaktor odpowiedzialny.

Po wojnie prowadził czynne życie. Jeździł po województwie, odkrywając twórców ludowych i ich pieśni. Działał w wielu organizacjach społecznych. Występował w

radio jako wuja Ceśku, prowadził regionalne audycje rozrywkowe. Organizował na estradzie „Wielkopolskie Kominki". Dopadł mnie którejś jesieni w Pławcach pod Środą, gdzie w latach 1947—1950 byłem kierownikiem szkoły. Wpadł do mego pokoju i od progu zawołał:

— Cześć, Leonard! Kupa lat! Gdzie tu masz tych swoich muzykantów?

Zajmowałem się muzykantami na swoją małą, pławiecką skalę. Oczywiście, odwiedziliśmy i ich. Ale przede wszystkim wypiliśmy niejednego kielicha i pogadaliśmy o czasach seminaryjnych. Postanowiliśmy, że przyjadę ze swymi muzykantami do Poznania do radia. Ale nie doszło do tego, bo wkrótce przeniosłem się na Podlasie.

Zupełnie inny charakter miały moje kontakty z Leonem Puzickim, który uczęszczał na III kurs seminarium, gdy ja byłem uczniem pierwszego. Ten muzyczny i poetycki geniusz zostałby na pewno sławnym artystą, gdyby nie zmarł w wieku kilkunastu lat na chorobę, która wówczas zabierała tłumy młodych ludzi, a która i mnie później dotknęła — na gruźlicę. To moje mniemanie o Leonie potwierdził Jerzy Młodziejowski — współautor w zbiorze wspomnień *Poznańskie wspominki 1918—1939*. Wymienia on Leona Puzickiego jako jednego z członków kwartetu, w którym grał między innymi Arnold Rezler. Tak! Bo też mój seminaryjny kolega uczęszczał równocześnie do konserwatorium muzycznego. Fakt ten potwierdza profesor Nowak.

Puzicki mieszkał — jak i ja — na Łazarzu. Był pięknym młodzieńcem, miał miłą, szlachetną twarz, lecz jeszcze bardziej urzekał swą osobowością, uroczym sposobem bycia. Przyciągał do siebie jak magnes. Przepadaliśmy wszyscy zwłaszcza za jego koncertami skrzypcowymi na uroczystościach i nabożeństwach szkolnych, ja zaś zachwycałem się także jego wierszami, czy raczej prozatorskimi impresjami lirycznymi, publikowanymi w szkolnym pisemku „Życie Radosne". Zachwycałem się nimi, bo trafiały w jakąś strunę, która we mnie czekała na poruszenie: w ów nieokreślony smętek ściskający serce nastolatka zadumanego nad sensem życia. Zazdrościłem poecie tych utworów i marzyłem o tym, by sam pisać takie. A jego gra na skrzypcach wydawała mi się czymś niedoścignionym. Zresztą dla mnie stanowiła jakby syntezę poezji. Miękki, wibrujący ton instrumentu mówił

to samo co liryka Leona. Nie bez znaczenia był fakt, że i ja wtedy zarówno pisałem jak grałem.

Kunszt muzyczny Puzickiego wzruszał i zachwycał nie tylko mnie. Gdy genialny skrzypek grał w niedzielę na mszy, stojąc obok fisharmonii, przy której siedział akompaniujący mu profesor Nowak, były momenty, że wszystkie oczy — w tym i oczy profesorów, siedzących w dalekim pierwszym rzędzie — zwracały się na niego. Aż ksiądz Nowakowski gniewnie marszczył czoło, zwracając się do sali z „Dominum vobiscum".

Wspominając Leona dziś, widzę go idącego żwirową alejką w ogrodzie botanicznym (obecnym Parku Kasprzaka) naprzeciw mnie. Rozmawiałem z nim wtedy o tym, dlaczego od jakiegoś czasu nie chodzi do szkoły, i dowiedziałem się, że po pobycie w szpitalu przebywa na rekonwalescencji, a czeka go jeszcze sanatorium.

To była ostatnia moja rozmowa z Leonem Puzickim, bośmy pochowali go już po paru tygodniach. Wspominając dziś to spotkanie w parku, myślę, ilu byśmy mogli mieć wielkich twórców, gdyby psychofizyczna struktura artysty zbyt często nie była taka krucha i wiotka...

Franciszek Grott też chorował na gruźlicę, tyle że jakoś się jej nie dał. Należał — tak jak Strugarek i Puzicki — do starszych ode mnie roczników seminaryjnych. Był człowiekiem przesiąkniętym wielu snobizmami — takimi snobizmami, które w pozytywny sposób budują osobowość człowieka. Starał się żyć na modłę sfer wyższych, podczas gdy ja zawsze manifestowałem sposób bycia zgodny z moim proletariackim pochodzeniem. Defilował po Plajcie czyli po Placu Wolności, siadywał na kawie u Dobskiego przy ulicy Fredry, podczas gdy ja włóczyłem się po Dębinie. Nosił się elegancko i z fasonem i robił zgorszone miny na moje cygańskie wyskoki. Aż dziw, że raczył ze mną przestawać. Ale też strofował mnie raz po raz i starał się imponować mi swymi modnymi lekturami, bo nie przepuścił żadnej książki, którą wypadało przeczytać. To wszystko bynajmniej nie wyklucza mojej wielkiej sympatii dla niego i szczerego szacunku zarówno dla jego wierszy, jak dla oczytania i inteligencji.

Podczas lat seminaryjnych małośmy się stykali, bo Franek jako starszy ode mnie był zbyt dorosły i nie przejawiał nadmiernej ochoty do zadawania się ze smarkaczem.

Jako jeden z ważniejszych redaktorów szkolnego pisemka „Życie Radosne", w którym kierował działem literatury, traktował mnie z góry. Bliższe kontakty nasze kończyły się właściwie na literackich spotkaniach ze Sztaudyngerem, gdyśmy czytywali swoje wiersze. Lecz i wtedy uwidaczniały się różnice między nami: gdy moje liryki rozbijały wszelkie kanony stylistyki — jego układały się gładkimi, młodopolskimi tęsknicami.

Dopiero w okresie poseminaryjnym — gdy różnica wieku siłą rzeczy malała — nasze kontakty stawały się coraz bliższe. Z pewnością też i ja miałem mu już wtedy czym imponować: publikacjami, występami. To w tym okresie bywałem u niego w domu — w okolicy Bukowskiej i Przecznicy (czyli obecnych Świerczewskiego i Zeylanda).

Kierował się na polonistę — wpierw trybem amatorskim, drogą samokształcenia, potem skończył studia. Uczył. Rychło przeniósł się do Bydgoszczy i tam zetknął się z Marianem Turwidem — redaktorem „Wici Wielkopolskich". Odtąd publikował w tym miesięczniku. Trochę w innych pismach. Dopiero po wojnie wyszedł jego jedyny tomik poetycki pod tytułem *Miastu nad Brdą* czy też właściwie *Dni pod niebem.*

Całość nosi na okładce właśnie tytuł *Miastu nad Brdą* a obok nazwiska Franka umieszczono nazwisko Zofii Strzeleckiej — autorki drugiej części, a w gruncie rzeczy oddzielnego tomiku, noszącego tytuł *Mowa serdeczna.* Szansa posiadania chociaż jednej jedynej własnej książki została w ten sposób utracona, a co najmniej zepsuta, bo i ma Franek tę książkę, i zarazem jej nie ma. A jego wiersze zasługują na to, by ją miał. Należy do nich wiersz poświęcony matce Floriana Jernasa.

Z „Florą" uczęszczaliśmy któregoś roku wspólnie na ten sam kurs seminarium nauczycielskiego. I on, i ja, i Franek czuliśmy nad sobą dobrą, opiekuńczą rękę Jana Sztaudyngera. Flora wojny nie przeżył. Nie przeżył jej i jego starszy brat, Alfons. W tomiku Franciszka Grotta jest wiersz pod tytułem *Matce przyjaciela,* nie dedykowany nikomu imiennie, lecz dla mnie łatwy do rozszyfrowania. Matka przyjaciela to matka Flory. Szkoda, że nie wymienił jej albo syna z imienia i nazwiska.

Kiedy zatęsknisz do żywych, zdejm, zostaw hełm rdzą przeżarty,
by szyb brzękiem nie zadziwić, stań za firanką przetartą
i spójrz na matki twarz śniącą o twoim z wojny powrocie.
Miesiące tak się przesączą przez wyblakłe trwaniem oczy.
Bo ty nie mogłeś pod Kutnem w krwi hekatombach pól barwić...

Nie mógł? Powrócę jeszcze do tej sprawy.

Był Flora wspaniałym, pogodnym, życzliwym całemu światu, absolutnie bezkonfliktowym chłopakiem, który nigdy nikomu nie wyrządził nic złego, a dobrego czynił tyle, ile tylko mógł i potrafił. Już sama jego okrągła, pełna twarz promieniowała życzliwością dla ludzi i świata. Stawał mi zawsze i do dziś staje w oczach, gdy pragnę wyobrazić sobie ideał harcerza. Należał do wzorowych druhów w szkole, a potem do najlepszych działaczy ZHP poznańskiej chorągwi. Przepełniała go poezja...

Oto fragment napisanego przez Sztaudyngera *Słowa wstępnego* do debiutanckiego tomiku Floriana Jernasa z roku 1937 noszącego tytuł *Księżyc nad Poznaniem*. To przecież w tej przedmowie znajduję słowa:

Poezji nie szukał, poezja była w nim, wezbrana, przelewająca się w pianie wierszy. Opanowany, cichy, spokojny, zawsze zadumany, ale równocześnie przytomny, nie chcący nigdy niczego dla siebie, skromny i dumny... Walczyłem z nim przed laty i przez lata, jak Tobiasz z Aniołem, starając się jego frazy obdarzyć sensem (a może tylko konstrukcją) i przecinkiem... Delikatne muszą być palce dotykające pierwszych kwiatów na wiosnę.

Aż trudno uwierzyć, że były te słowa pisane za życia bohatera. Są w tym *Słowie wstępnym* fragmenty tak bardzo pochwalne, że wydaje mi się dziś, jakby Sztaudynger pisał je w przeczuciu rychłej śmierci Flory.

To prawda: ten chłopak nie chciał niczego dla siebie. A jednak miałem szczęście dać mu to i owo i obecnie jestem z tego dumny.

Co prawda nigdy nie należeliśmy do tego samego kręgu przyjaciół, lecz pozostawaliśmy zawsze w bliskich, bardzo serdecznych kontaktach. Chodziliśmy pierwotnie do tej samej klasy (czyli na ten sam kurs — bo tak to się nazywało w seminarium), lecz gdy ja zarepetowałem, on mnie wyprzedził. Nie urwały się jednak spotkania nawet wtedy, gdy on chlubnie ukończył szkołę. Pracował w powszechniaku na Wildzie, która była jego rodzinną

dzielnicą. W pewnym okresie spotykałem go z dziewczyną, też nauczycielką, z którą łączyła go piękna, pogodna, szlachetna miłość. Chętnie przystawał ze mną, bo w jego oczach reprezentowałem świat literacki, obok którego on chadzał bokiem, nie cisnąc się do środka, a jednak pragnąc zaspokoić ciekawość, co się tam dzieje.

Nic dziwnego, że gdy wydałem swój drugi tomik poetycki, *Krew ziemi*, przyszedł do mnie z zapytaniem: jak to zrobić? Zaprowadziłem go wtedy do księgarza-wydawcy Stefana Dippla, potem do dyrektora drukarni „Ostoja", Czesława Szczepskiego. No i stało się. W ten sposób ukazał się jego jedyny tomik, wspomniany *Księżyc nad Poznaniem*.

Także ja wciągnąłem go na Wyższy Kurs Dziennikarski. Poszliśmy razem do dyrektora Wyższej Szkoły Handlowej, profesora Antoniego Peretiatkowicza, i ten udzielił nam zezwolenia na odbycie kursu (matura seminaryjna nie uprawniała wtedy do studiów wyższych, a jeśli o mnie chodzi, nie miałem jeszcze nawet matury). W związku z tym kursem pośredniczyłem także w uzyskaniu dla Florka praktyki dziennikarskiej w redakcji „Kuriera Poznańskiego". A gdy redagowałem wpierw miesięcznik „Poranek", a później dwutygodnik „Nasza Niedziela", zamieszczałem jego wierszyki dla dzieci, z czego się bardzo cieszył. I ja teraz bardzo się cieszę z tych przysług.

Ostatni raz widziałem go tuż po wybuchu wojny — zapewne w sobotę 2 września 1939. Szedłem ulicą Matejki, a on w mundurze oficerskim z naprzeciwka prowadził jezdnią pluton żołnierzy. Pomachaliśmy sobie rękami — Cześć! — Cześć! — On zawołał jeszcze:

— Bywaj! Idziemy robić porządek z Niemcami! Do zobaczenia po wojnie!

Dziś z książki Mariana Walczaka *Nauczyciele wielkopolscy w latach wojny i okupacji 1939—1945*, stanowiącej nieocenione źródło wiedzy na ten temat, dowiaduję się, że brat Flory, Alfons Jernas, uwięziony w porcie VII w Poznaniu, został rozstrzelany w Żabikowie w czerwcu 1944. A o Florianie pisze autor tak:

Jernas Florian, nauczyciel Publicznej Szkoły Powszechnej nr 5 w Poznaniu. Brał udział w kampanii wrześniowej w 1939 r. Zginął jako żołnierz pod Piątkiem.

Podczas odczytu, który przed kilku laty wygłaszałem w Pałacu Działyńskich, podeszła do mnie jakaś pani i powiedziała mi między innymi to, że tam w Piątku na polu bitwy stoi pomnik, na którym spisano nazwiska poległych. Zapewniła mnie, że ppor. Florian Jernas został na tej tablicy także umieszczony. Dobrze, że choć tyle.

Piątek! Ileż to mi przypomina. 5 września wyszedłem z zagrożonego wkroczeniem hitlerowców Poznania, by dogonić polskie wojsko i zaciągnąć się do niego, choćby nawet bez karty mobilizacyjnej, której nie miałem jako odstawiony do niewojennej kategorii. Maszerowałem pieszo przez Wrześnię, Kutno, Koło, Warszawę, Brześć nad Bugiem, aż prawie po sam Lwów. Pod Kutnem mijałem w lasach polskie oddziały, które nie chciały nawet gadać z nami cywilami. Mijałem też Piątek — jeszcze przed bitwą. Dziś znajduję go tylko na mapie jako drobny punkt na skrzyżowaniu dróg z Kutna do Łodzi i z Łęczycy do Łowicza. On tam był w pobliżu, gdy szedłem pod gradem bomb, a z lasu padały pociski. Może z jego broni? A może celowane do niego? Mnie w każdym razie nie trafiły. A on krótko potem może następnego dnia, tak, chyba następnego! — zginął w bitwie. A ja nie mogłem mu pomóc...

Jakżeż to dobrze, że Jerzy Korczak, przygotowując swą wspaniałą książkę dokumentalną *Cóżeś ty za pani...*, trafił na ślad mojego przyjaciela, cudownego człowieka, uroczego poety i — jak się okazuje — także bohaterskiego żołnierza. Autor opisuje, jak to podporucznik Jernas ze swoim plutonem wziął do niewoli grupę żołnierzy niemieckich. Opis jest obszerny, dokładny.

Ale kilka stron dalej czytam o przeciwnatarciu Niemców: *Kilkunastu ludzi, w tym podporucznik Florian Jernas, bohater mocnego wypadu, oddało życie. A batalion nacierał dalej ku szosie...*

Dosłownie tak. Bo ludzie padają, a życie toczy się dalej.

Korczak opisał Florę-Rysia jako żołnierza, ja próbuję przypomnieć go jako cywila i poetę. Jakżeż harmonijnie łączyło się jedno z drugim w tej pięknej postaci — postaci polskiego harcerza. Bo tak można ostatecznie streścić jego osobowość.

Ze wzruszeniem przeglądam trochę przegadane ballady Floriana Jernasa, zamieszczone w jego *Księżycu nad Po-*

znaniem. Zacytuję tu fragment z *Ballady o grabarzu i duchach cmentarnych,* bo mi ten fragment jest poręczny jako finał tych obrazków, w których razem z żywymi seminarzystami przywoływałem duchy zmarłych:

W grabarzowych opłotkach
Kogut na płot opadł
I pieje. I pieje.
Niedługo świt mroki rozwieje

A gdy dość było tych rzewnych okrzyków
Grabarz ukłonił się nieboszczykom
I rzecze:
Wracajcie duchy napowrót w groby
Boby
Z was który na siłach opadł
I pogubił kości
A dziś jest Drugi Listopad
Dziś tu będzie wiele gości.

Prócz *Księżyca nad Poznaniem* została po nim powieść *Podchorążowie* napisana pod wpływem doświadczeń służby wojskowej w podchorążówce. Pozostały rozproszone publikacje i drobne druki. Pośród moich pamiątek znajduje się jeden z nich, świadczący o współpracy Flory ze Stasiem Strugarkiem, wyrosłej na gruncie służby nauczycielskiej. Jest to malutka, 16-stronicowa broszurka *Zwiedzamy Poznań,* napisana przez czterech autorów, wśród których figurują oni dwaj. Ukazała się ta rzecz w Poznaniu w rok 1938. Jak widać z tytułu — byliśmy wszyscy równie mocno zakochani w rodzinnym mieście.

Gdy w roku 1945 zaszedłem do dobrze mi znanego mieszkanka na Wildzie, zastałem samą matkę. Tę, którą w swym wierszu wspomina Franek Grott. Komunikowała mi cała we łzach to, co tu już przed chwilą napisałem: że nie wrócił z wojny żaden z jej dwóch synów — ani Flora, ani starszy od niego Ali. Wybuchnęła płaczem, chwyciła mnie za klapy marynarki i wołała, łkając: — Ale to niemożliwe, żeby całkiem nie wrócili! Przecież jeszcze wrócą, prawda? Niech pan powie!...

Czułem się winny tego, że żyję.

Starałem się zawsze — jak tylko potrafiłem — przywracać pamięć poległego we Wrześniu młodziutkiego poety. Jakże dziś jestem ogromnie wdzięczny Józefowi Ra-

tajczakowi za to, że w swej antologii *Pieśni i pejzaże* (Wydawnictwo Poznańskie 1981) nie pominął twórczości Floriana Jernasa, zamieszczając trzy jego ballady. To doprawdy rzeczy godne przypomnienia, tak samo jak postać ich autora.

Praca

W takiej rodzinie jak nasza życie na cudzy rachunek po ukończeniu czternastego roku życia traktowało się jako coś przeciwnego naturze. Kto w rodzinie proletariackiej opuścił szkołę powszechną — powinien dawać swój wkład do budżetu domowego albo sam się utrzymywać. Rodzina wielodzietna — a takie przeważały w środwisku robotniczym — po prostu nie wytrzymałaby materialnego obciążenia, jakim było posyłanie dzieci do szkoły średniej, wyjątek stanowiła sześcioklasowa szkoła wydziałowa, oparta na czterech klasach szkoły powszechnej, trwająca tylko trzy lata dłużej od niej (gimnazjum — pięć lat dłużej), nie dająca jednak ni matury, ni żadnych uprawnień formalnych. Ale i do tej uczęszczały raczej dzieci niższych urzędników, drobnych kupców, nieco zamożniejszych rzemieślników. Drugim, wyższego stopnia wyjątkiem, bo rzadszym, było seminarium nauczycielskie. Choć pięcioletnie — jak i gimnazjum — kosztowało jednak znacznie mniej, opłaty za naukę były o połowę niższe, a w dodatku dość łatwo udzielano 50-procentowej zniżki. Było to także trudne do wytrzymania przez taki dom jak mój, jednak łatwiejsze.

W kamienicy naszej — typowo proletariackiej — z tłumu dzieci zrodzonych w około czterdziestu rodzinach, gimnazjum ukończył tylko Kazio Ewicz, późniejszy długoletni wicedyrektor Biblioteki Edwarda Raczyńskiego. Moi przyjaciele podwórkowi albo szli do nauki rzemiosła, albo szukali dorywczych zarobków. Jedna z dziewcząt pracowała nawet jako „kobieta bez tułowia", co było dla nas bardzo pocieszne, bośmy ją przed południem widywali chodzącą normalnie na własnych nogach, a po południu mogliśmy oglądać (gdyby nas było stać na wstęp) jako taką, której ciało kończyło się nieco poniżej szyi, a więc składało się właściwie z samej głowy, a szkoda, bo było to dziewczę zgrabne, o kształtnej talii. Mój naj-

Tereny Powszechnej Wystawy Krajowej w 1929 r.

serdeczniejszy przyjaciel prosto ze szkoły poszedł w naukę do szewca i był już właściwie dorosłym człowiekiem, gdy jego rówieśnicy z lepszych kamienic zbijali bąki jako uczniacy.

W naszej rodzinie — najstarsza siostra, pracując w magistracie jako siła niewykwalifikowana tylko dzięki temu, że tuż po wojnie było zapotrzebowanie i na takie, kończyła kurs kreślarski, po którym została zaangażowana jako kreślarka. Druga — do śmierci pozostawała właściwie bez zawodu, choć przez całe życie wykonywała różne prace zarobkowe. Trzecia — musiała porzucić seminarium nauczycielskie już po pierwszym roku nauki ukończonym z celującymi wynikami i mając 15 lat, poszła w świat, by jako biuralistka zdobywać stopień za stopniem coraz wyższe kwalifikacje, później maturę, a wreszcie, dopiero po II Wojnie Światowej, magisterium z zakresu filologii angielskiej, to ostatnie już jako wdowa utrzymująca i kształcąca dwoje dzieci. Mój brat prosto ze szkoły podstawowej poszedł w naukę do cukiernika i po paru latach zdobył ten intratny zawód, z którym dobrze mu się powodziło, choć był włóczęgą i lekkoduchem.

Ja, chodząc do seminarium nauczycielskiego, starałem się zarabiać w różny sposób. Podobnie jak wielu star-

szych uczniów i studentów, udzielałem korepetycji z różnych przedmiotów i lekcji gry na skrzypcach osobnikom bez słuchu, choć o taką pracę nie było łatwo, łatwiej było ją stracić, gdy synalek mimo wszystko nie czynił postępów. Zajmowałem się tym już na pierwszym kursie. Ale po tym pierwszym roku nauki nadarzyła mi się wprost cudem okazja podjęcia bardziej stałej pracy. Cudem, bo miałem zbyt mało lat.

Dosyć późno zreflektowałem się i zdecydowałem, że mimo nie ukończonych 15 lat spróbuję znaleźć pracę na Powszechnej Wystawie Krajowej. Ta kolosalna impreza handlowa na skalę światową trwała przez kilka miesięcy, od 16 maja do 30 września 1929 roku i przez tych kilka miesięcy nieczynne były szkoły, zajęte w Poznaniu całkowicie na cele kwaterunkowe. W seminarium werbowano wprawdzie konduktorów do pracy na akumulatorowych wózkach, wożących ludzi po terenach wystawowych, ale przyjmowano jedynie uczniów dwóch najstarszych klas. Komunikację tę zorganizowało przedsiębiorstwo ojca — Poznańska Kolej Elektryczna.

Szukałem tak długo, aż znalazłem inną pracę. Był to jedyny w okresie międzywojennym czas w Poznaniu, gdy nie brakowało zarobku. Tym boleśniej po zakończeniu wystawy dała się odczuć nowa, wzmożona fala bezrobocia.

Otóż tacy chłopcy jak ja sprzedawali na Pewuce mrożoną śmietanę w czekoladzie pod nazwą Tatra-śnieg — smakołyk sensacyjny jak na owe czasy, lecz horendalnie drogi: 50 groszy za porcję, podczas gdy zwykłe lody z ulicznego wózka można było zjeść już za pięć groszy.

W czerwcowy poranek — ubrany w biały kaftan i białą czapkę, z zawieszonym na pasku i opartym o brzuch pudłem — ruszyłem na podbój niezmierzonych terenów wystawowych. Był dzień powszedni, ludzi przed południem chodziło niewiele, lecz ja szedłem między nich i wołałem: — Tatra-śnieg, mrożona śmietana w czekoladzie! Nowość! Porcja tylko 50 groszy!

Daremne to były wołania. Chodziłem coraz bardziej struty, a najbardziej gniewało mnie to, że inni, podobni do mnie sprzedawali jednak porcje, czasem nawet na moich oczach. Takie ponosiłem skutki swej nieśmiałości, swych zahamowań. Szedłem tam, gdzie się innym szczęściło, lecz nie wychodziło z tego nic. Wlokłem się

Przed głównym wejściem na tereny Powszechnej Wystawy Krajowej w 1929 r.

więc, na koniec zniechęcony, jeszcze gdzie indziej, lecz tam znów nie było publiczności. Wołałem z zapamiętaniem: — Za jedne 50 groszy mrożona śmietana w czekoladzie! Kupujcie Tatra-śnieg!

Moja kariera sprzedawcy lodów trwała tylko dwa dni. Dalsze zachwalanie drogiego smakołyku nie miało sensu, choć inni sprzedawali go skutecznie aż do końca wystawy. Wprawdzie nikt w domu nie powiedział mi złego słowa, bo nikt w naszym domu nigdy nie nadawał się do handlu, lecz byłem pełen złych przeczuć na temat tego, co sobie wszyscy myślą o moim niedołęstwie, bo akurat po pierwszym roku nauki w seminarium nauczycielskim nie otrzymałem promocji na drugi kurs i moja sytuacja była godna pożałowania, choć jako urodzony w końcu września mogłem w ostateczności ten jeden rok stracić.

Teraz jedno niepowodzenie nakładało się na drugie. Zaczęło mi się wydawać, że nie nadaję się do niczego: ani do nauki, ani do pracy. Tak też może zdawało się i domownikom, bo jednak co nieco nasłuchałem się na ten temat od ojca, gdy ten po kilku dniach zdecydował

się prosić o pracę dla mnie w dyrekcji Poznańskiej Kolei Elektrycznej, a następnie posłać mnie tam osobiście.

Udało się, robotę dostałem.

Przed nowo wybudowanym wyjściem zachodnim z poznańskiego dworca głównego, czyli przed tak zwanym dworcem targowym stały autobusy specjalne Poznańskiej Kolei Elektrycznej (prowadzącej całość komunikacji miejskiej) przeznaczone do grupowych przejazdów. Do mnie należało utrzymywanie kontaktów między dyspozytornią a kierowcami i grupami wycieczkowymi. „Urzędowałem" przy telefonie. Robiłem wiele różnych rzeczy w charakterze łącznika, gońca, chłopca do wszystkich możliwych poruczeń. Praca odpowiadała mi, nie wymagała bowiem handlowej smykałki. Chodziłem w niebieskim mundurku z czerwonymi lampasami i w okrągłej, wysokiej czapce bez daszka — takiej jak boye — w tych samych kolorach.

To zajęcie na PKE w związku z Pewuką przyniosło mi pierwsze w życiu miesięczne zarobki. O ile sobie dobrze przypominam, wynosiły one 30 złotych miesięcznie. Prócz tego miałem przywilej wchodzenia na teren dworca kolejowego, bezpłatnego przejazdu miejskimi środkami komunikacji i wolny wstęp na Wystawę.

Liczyłem 14 lat, pod koniec tej pracy ukończyłem 15. Krótko potem mój brat, Stefan, zachęcony wystawową prosperity, do spółki z drugim kolegą cukiernikiem otworzył przy ulicy Strusia wytwórnię cukierniczą, która mogłaby świetnie prosperować, gdyby obaj fachowcy więcej pracowali, a mniej pili. A pili zapewne dlatego, że pogarszające się akurat po Pewuce stosunki gospodarcze rujnowały przedsiębiorstwo. Po prostu zaczynał się wielki kryzys i picie było zapewne skutkiem, a nie przyczyną beznadziejnej sytuacji wytwórni cukierniczej.

Mój roboczy wkład w przedsięwzięcie polegał na tym, że wcześnie rano przed lekcjami roznosiłem blachy z ciastkami, pączkami i wyśmienitymi bombami czekoladowymi po sklepach. Była to ciężka harówa, niestety wynagrodzenie za nią odkładano do czasu, gdy przedsiębiorstwo stanie na nogach. Nie doczekałem się oczywiście ani grosza, czasem tylko pojadłem sobie trochę słodyczy.

Lepsze efekty dawała mi później wyręka, z jaką popołudniami chodziłem do wuja Tomka na Winiary. Pomagałem bratu naszej mamy w warsztacie rzeźnickim, krę-

cąc ręczne maszyny, przenosząc naczynia, doglądając wędzarni lub gotowania wyrobów w olbrzymim kotle. Zawsze wracałem do domu z pakunkiem wędliny.

Niezła, choć krótka była też moja kariera gazeciarska. Nie sprzedawałem gazet, lecz roznosiłem je do mieszkań prenumeratorów. W tym czasie liczba kiosków gazetowych była jeszcze nikła. Zresztą niektórzy czytelnicy życzyli sobie otrzymywać gazetę w dom.

Była zima, gdy jako gazeciarz biegałem przez kilka tygodni po ulicach śródmieścia. Chodziłem po południu na ulicę Pocztową (dziś 23 Lutego), czy to do drukarni czy to do wydawnictwa. Plik pism otrzymywałem z jakiejś paczkarni. Adresy miałem stałe. Goniłem od kamienicy do kamienicy, z piętra na piętro — już po ciemku, przed wieczorem, bo o tej porze dnia ukazywały się wtedy dzienniki. Dzwoniłem lub pukałem do drzwi, czasem wrzucałem pismo przez szparę przeznaczoną do doręczania przesyłek. Działo się to na Alejach Marcinkowskiego i w ich okolicach.

Gazetą był chadecki „Nowy Kurier" — ten sam, który wcześniej, jeszcze pod nazwą „Postępu" prenumerował mój ojciec i ten sam, z którymi w dalszych latach dwa razy związałem swe życie: po raz pierwszy jako współpracownik, po raz drugi jako redaktor. Jeszcze jako uczeń nawiązałem współpracę z tym dziennikiem.

Łatwo dziś powiedzieć: „nawiązałem współpracę". Nie było to takie proste, choć poszło dosyć gładko.

W domu sytuacja materialna była coraz gorsza. Panujące bezrobocie odebrało matce chałupniczą pracę, otrzymywaną poprzednio z Urzędu Umundurowania, dla którego przez lata szyła spodnie. Odbiło się to dotkliwie na domowym budżecie. Niewiele pomagały dorywcze zarobki z prania, które dostawała od czasu do czasu od niektórych znajomych. Atmosfera domowa stawała się przez to coraz bardziej napięta. W dodatku — wskutek tej właśnie atmosfery — przynosiłem ze szkoły coraz gorsze świadectwa, dwa razy repetowałem klasy.

Ośmielony publikacjami w szkolnej gazetce, pomyślałem, czyby nie spróbować w prawdziwej gazecie... Długo trwało, nim obmyśliłem sobie temat i formę, a następnie napisałem kilka próbek. Wreszcie z gotowymi materiałami poszedłem do redakcji.

To wtedy po raz pierwszy zetknąłem się z prawdziwy-

mi redaktorami. Poznałem sekretarza redakcji „Nowego Kuriera" — Jarogniewa Kaniastego, bo musiałem przejść przez duży pokój redakcyjny, w którym siedział prawie cały zespół, by dostać się do gabinetu naczelnego redaktora, profesora Kaźmierczaka. Do niego właśnie wybrałem się na rozmowę, skierowany przez sekretarza, który niechętnie mi odburknął i ręką wskazał drzwi.

Los mi poszczęścił, bo redaktor Jan Kaźmierczak był na miejscu, a w dodatku przyjął mnie bez wahania. Kolana uginały się pode mną, gdy podawałem próbne materiały poważnemu, siwiejącemu jegomościowi o dostojnej twarzy. Wręczyłem mu kilka felietoników pod wspólnym nagłówkiem *Z ławy uczniowskiej*, poruszających różne problemy szkolne widziane oczyma ucznia. Redaktor bardzo się moją propozycją zainteresował, oświadczył, że czytelnicy radzi będą z całkiem nowego spojrzenia na sprawy szkoły. Kazał mi przyjść za dwa albo trzy dni po odpowiedź.

Zanim zdążyłem zjawić się po nią u niego, jeden z felietonów ujrzał światło dzienne. Pobiegłem uradowany do Kaźmierczaka i dowiedziałem się, że zapoznał się z moimi próbami i akceptuje je. Wyznaczył mi od ręki honorarium w wysokości 4 groszy od wiersza, bo wtedy liczyło się linijki dokładnie i płaciło od ich ilości, z czego dziś już została sama nazwa „wierszówki". Każdy felietonik liczył około 50 wierszy objętości, gdy więc na końcu miesiąca zgłosiłem się do kasy, wypłacono mi mniej więcej dwadzieścia złotych. Był to wtedy niemały grosz jak na 16-letniego uczniaka.

Felietony pisywałem przez kilka miesięcy, jeden, dwa tygodniowo. Sygnowałem je kryptonimem Turkay — tak jak mnie wołali niektórzy koledzy w seminarium, bo dla całej reszty byłem po prostu Turkiem. Rzecz oczywiście rozniosła się po szkole, przysparzając mi chwały w koleżeńskim gronie. Toteż nic dziwnego, że o mej twórczości dziennikarskiej dowiedział się również dyrektor Waga. Początkowo jednak nie wtrącał się do tego, sam przecież korzystał z usług mego pióra, godząc się na mą funkcję kronikarza szkolnego.

Tym gwałtowniejsza była jego reakcja, gdy w gazecie ukazał się felietonik pod tytułem *Imieniny dyrektora*, kończący się opisem radości uczniów puszczonych z lekcji do domów z powodu imienin dyrektora, a było to tuż po

imieninach Juliana Wagi, takim właśnie sposobem zakończonych.

Dyrektor wezwał mnie do gabinetu i zakazał pisywania do gazety, jest to zajęcie zabronione regulaminem szkolnym. Oświadczyłem, że niczego nie pisuję, więc dobrze się składa. To samo oświadczenie złożyłem przed wezwanym do szkoły ojcem, który sam nic nie wiedział, bo w domu nie czyniłem zwierzeń na temat swej twórczości.

Wtedy dyrektor poszedł do redakcji.

O jego wizycie opowiedział mi wkrótce redaktor Kaźmierczak, niczego nie owijając w bawełnę. Oto Waga stanowczo zażądał od niego nazwiska autora felietoników uczniowskich i zgłosił zastrzeżenia do prawdziwości felietoniku o imieninach, zarzucając wypaczenie faktów. Redaktor roześmiał się, bo w tekście nie została nazwana szkoła. A jednak w kuratorium musiano sprawę rozszyfrować i w seminarium z pewnością były jakieś nieprzyjemności. Niestety, Waga całym swym zachowaniem przyznał się do winy... Tym gwałtowniej nacierał na Kaźmierczaka.

Na koniec redaktor powołał się na prawo o zachowaniu tajemnicy prasowej i oświadczył, że z powodu treści publikacji wolno zaskarżyć redakcję, mogącą stanąć przed sądem w osobie redaktora odpowiedzialnego. Każda redakcja zatrudniała wtedy takiego redaktora, podanego imiennie w stopce redakcyjnej gazety, a nazywanego w dziennikarskim żargonie sitzredaktorem, czyli redaktorem do odsiadywania wyroków, bo często nic więcej nie miał on wspólnego z prasą, a bywali nimi nawet analfabeci. W „Nowym Kurierze" był nim człowiek piśmienny, niejaki Józef Kozłowski.

Dyrektor poszedł jak zmyty, lecz ja nie mogłem już spodziewać się dobrego życia w seminarium. Od tej pory — zgodnie z radą Kaźmierczaka — podpisywałem każdy felietonik innym kryptonimem, dostosowanym do treści, co sprawiało wrażenie, że piszą je różni autorzy.

Nie pisywałem ich już długo. Wkrótce bowiem przestałem być uczniem seminarium nauczycielskiego.

Redakcja „Nowego Kuriera" po tych doświadczeniach nie stanowiła dla mnie ziemi nieznanej, a ja nie byłem obcy redaktorom, gdy później, w latach 1933—1934, zostałem zatrudniony w niej. Ale to już rozdział odrębny, dalszy.

Tymczasem zasmakowawszy pierwszej w życiu wierszówki, przeżyłem jakby przełom. I zdziwienie: więc można żyć z pisania?

Żyć oczywiście nie można było, będąc szesnastoletnim, nie douczonym młodzikiem. Można było jednak, pobierając wierszówkę, oderwać się od zarobkowania pracą fizyczną, która przecież także na życie nie starczała.

Ale sytuacja zmieniła się wkrótce w sposób radykalny. Dyrektor Waga postanowił pozbyć się z seminarium uciążliwego ziółka. Wyrzucił mnie wbrew protestom Sztaudyngera, wbrew nadziejom, jakie pokładali we mnie i inni nauczyciele. Co prawda mój szwagier, Tadeusz Zygfryd Kassern, wskórał osobiście u kuratora szkolnego tyle, że musiano mnie przyjąć z powrotem, lecz taki tryb załatwienia sprawy wzbudził jedynie żądzę zemsty i tym bardziej nie mógł mi wróżyć niczego dobrego.

Czy od tej pory uczęszczałem do seminarium jeszcze trzy, czy cztery miesiące? — To ostatecznie dziś już wszystko jedno.

Stanąłem oko w oko z okrutnym wtedy życiem. Z beznadziejnym życiem czasu Wielkiego Kryzysu.